

W numerze: JERZY KISSON-JASZCZYŃSKI *Termopile leżą pod Piotrkowem* • ZOFIA TARNOWSKA
Strach i odwaga (artykuł dyskusyjny) • MAŁGORZATA KARBOWIAK *Śmierć kamienicy*
Wiersze białoruskie • *Zewsząd o wszystkim* • *Nowela kryminalna*

odgłosy



35 (719)

29. VIII. 1971 r.

Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV



WITAJ SZKOŁO!

JAN KOPROWSKI

MÓJ WRZESIEŃ

W kwietniu 1939 roku komisja poborowa, przed którą stanąłem, uznała mnie za zdolnego do służby liniowej. Na jesieni miałem być powołany do wojska razem z rówieśnikami, których tak samo jak mnie zaliczono do kategorii A. 1 września Niemcy hitlerowskie napadły na Polskę i rozpoczęła się druga wojna światowa. Mieszkałem wówczas w Pruszkowie pod Warszawą. Z kartą mobilizacyjną w zanadrzu udałem się do stolicy (znałem tę trasę dobrze, jeździłem nią prawie codziennie na wykłady uniwersyteckie) a stamtąd różnymi drogami do Lublina, później na Brześć, wreszcie do Kowla, gdzie wyznaczono punkty zbiorne dla rezerwistów i poborowych. Szybki rozwój wypadków, ogólna dezorganizacja i panika uniemożliwiły uformowanie z nas wojska i wysłanie na front. Ponieważ czuliśmy się patriotami, uznaliśmy, że los potraktował nas po macoszemu, nie dozwoliwszy z orężem w ręku bronić zaatakowanej przez wroga Rzeczypospolitej. Wędrowka przez ziemie polskie w ten wyjątkowo piękny wrzesień 1939 roku wiele nas nauczyła. Nasz patriotyzm wystawiono na ciężką próbę. Rozumieliśmy, że ginie kraj, a wraz z nim nasze plany, nadzieje, marzenia. Niektórzy z nas byli na studiach, inni startowali do samodzielnej pracy w fabryce lub na roli, jeszcze inni — gotowali się do kariery wojskowej. Moje pokolenie chciało wyruszyć na podbój świata, który wydawał się piękny, bezpieczny i ustabilizowany. Byliśmy zbyt młodzi, aby wiedzieć to, czegośmy mieli

Dalszy ciąg na str. 3

PIOTR ŚCIEBURA

Studenci z Bielska

„Studentką czuję się tylko wtedy, gdy słucham Radiowego Magazynu Studenckiego”.
 „Czuję się studentem, kupując ulgowy bilet w tramwaju”.
 Oto wynik ankiety przeprowadzonej jesienią ubiegłego roku wśród studentów filii Politechniki Łódzkiej w Bielsku-Białej.

• ☆ •

W 1927 roku, dzięki staraniom wojewody Grażyńskiego, zakończono w Bielsku budowę nowego budynku szkolnego. Za trzy miliony ówczesnych złotych postawiono okazałą, piękną szkołę. Szkoła ta, to dzisiejsze liceum im. Mikołaja Kopernika.
 W jednym ze skrzydeł gmachu mieści się Filia Politechniki Łódzkiej. Mimo że w porównaniu z okresem powstawania uczelni liczba studentów potroiła się, sal nie przybyło. Wynikiem tego jest

ogromna ciasnota w pomieszczeniach. Uczelnia posiada siedem audytoriów. Dwa z nich to kreslarnie, w których odbywają się normalne zajęcia. Często zdarzają się dni, że studenci przyjeżdżający wcześniej, nie mają się gdzie podziać.
 Motywów utworzenia uczelni dziennej w Bielsku było kilka. Politechnika Łódzka posiada jako jedyna w Polsce Wydział Włókienniczy oraz specjalizację silników samochodowych na Wydziale Mechanicznym — oto najważniejsze z nich. One to zadecy-

dowały, że właśnie Łódzka oferta zdystansowała oferty innych wyższych uczelni.

Bielsko-Biała jest miastem czystym, spokojnym, prawie sennym. Ciasne, kręte, strome uliczki tworzą specyficzny nastrój. Jednak Bielsko jest silnym ośrodkiem przemysłowym. Można tu znaleźć prawie wszystkie rodzaje przemysłu — włókienniczy z przewagą wełnianego, maszynowy, elektryczny... Jest Bielska Wytwórnia Sprzętu Mechanicznego, która przejęła od FSO produkcję samochodu osobowego „Syrena”. Produkcja „Syreny” spowoduje poważny rozwój zakładów. Ilość pracowników WSM ma się zwiększyć prawie pięciokrotnie. Otworzy to nowe, szersze niż dotychczas, możliwości zatrudniania absolwentów filii Politechniki Łódzkiej. A przecież jest jeszcze BeFaMa (Bielska Fabryka Maszyn Włókienniczych). Zjednoczenie Przemysłu Wełnianego „Południe” i wiele innych.

— Są to przedsiębiorstwa bezpośrednio związane z filią — mówią studenci. W ich oczach nie ma niechęci; jest życzliwa ciekawość dla kogoś, kto przebył pół Polski, żeby z nimi porozmawiać. Opowiadają o swojej pracy: suk-

cesach i bolączkach. Obok wspomnianej ciasnoty, do tych ostatnich należą: sprawa lokalu klubowego i pomieszczenia organizacyjnego.

W filii Politechniki Łódzkiej studiuje obecnie 340 studentów. Większość wykładowców dojeżdża z Łodzi. Pięć do ośmiu godzin w pociągu Warszawa — Bielsko, zależnie od połączeń. Potem nocleg w pokojach gościnnych. Następnego dnia wykłady i ćwiczenia. Zajęcia trwają przez cały dzień — najpierw dla studium dziennego, potem wieczorowego.
 Gospodarze miasta marzą o własnej, niezależnej uczelni. Warunki mieszkaniowe oferowane pracownikom filii nie należą do najgorszych. Trzy pokoje z kuchnią mogą skusić niejednego młodego magistra inżyniera. Na razie zdecydowały się dwie osoby: dr Walicki i mgr Linek. W trakcie przenosin są jeszcze trzy. W sumie pięć osób. Nie jest to dużo, ale już lepiej, niż na początku istnienia filii.

W rozmowie z dr Edwardem Walickim, opiekunem miejscowej organizacji ZMS, powracamy do sprawy zajęć.

— Czasami trzeba je skrócić lub poprowadzić bez przerwy — mówi dr Walicki. — Sam nie dojeżdżam od czasu, gdy władze

miejskie zapewniły mi trzy pokoje z kuchnią na osiedlu „Złote Lany”.

Dr Walicki narzeka na brak współpracy z przemysłem. Miejscowi naukowcy (nie jest ich wprawdzie wielu, ale przecież ma być coraz więcej) chętnie nawiązałyby współpracę z bielskimi zakładami przemysłowymi. Wyszłoby to chyba na dobre i studentom, którzy w zdecydowanej większości pójdą pracować do tych zakładów. Na razie współpraca leży w sferze planów.

W dalszym ciągu rozmowy pytam o przewidziane regulaminem studium godziny konsultacyjne. Okazuje się, że są, tylko studenci nie zgłaszają się na nie. Przyczyną takiego stanu rzeczy jest niewiedza i brak nawyków, charakterystycznych dla innych, większych i „starszych stażem” ośrodków studenckich.

Samodzielne rozwiązywanie problemów naukowych wpływa niekorzystnie na efektywność studium. Siedemnaście zaliczeń na Oddziale (filia posiada oddziały na prawach wydziału) Mechanicz-

Dalszy ciąg na str. 4

MÓJ WRZESIEŃ

(Dalszy ciąg ze str. 1)

doświadczyc w tak krótkim czasie: że był to świat wyjątkowo niestabilny, a Polska w tym świecie stanowiła ogniwo słabsze od innych. Okazało się zresztą, że historia — ta wieczna korektorka — wniosła swoje poprawki i w niecały rok później Francja, która uchodziła przecież za mocarstwo, upadła pod naporem hitlerowskiego ataku szybciej niż Polska. Gorzka to była pociecha.

W rozbitych miasteczkach straszły nas ocalale na betonowych słupach ogłoszeniowych afisze, przedstawiające eskadrę samolotów, Edwarda Rydza-Smigłego z buławą marszałkowską w ręce i hasło: silni, zwarci, gotowi. Jeszcze kilka dni temu wierzyliśmy w kryjącą się za symbolami tego afisza rzeczywistą potęgę. Teraz widzieliśmy jak wszystko wali się w gruzy, jak bombowce hitlerowskie niszczą miasta i miasteczka, linie kolejowe, bezbronnych ludzi. Raz po raz w fale uciekinierów, która płynęła jak szeroko rozlana rzeka na wschód, spadały z nadlatujących samolotów bomby, pozostawiając na drogach zabitych i rannych. Nikt nie próbował pośpieszyć im na pomoc. Każdy myślał tylko o sobie: skryć się, skryć się do mysiej dziury, byle ocaleć, byle ująć jak najdalej od kalectwa i śmierci. Wojna wyzwala bohaterstwo, ale wyzwala też egoizm, posunięty do okrucieństwa.

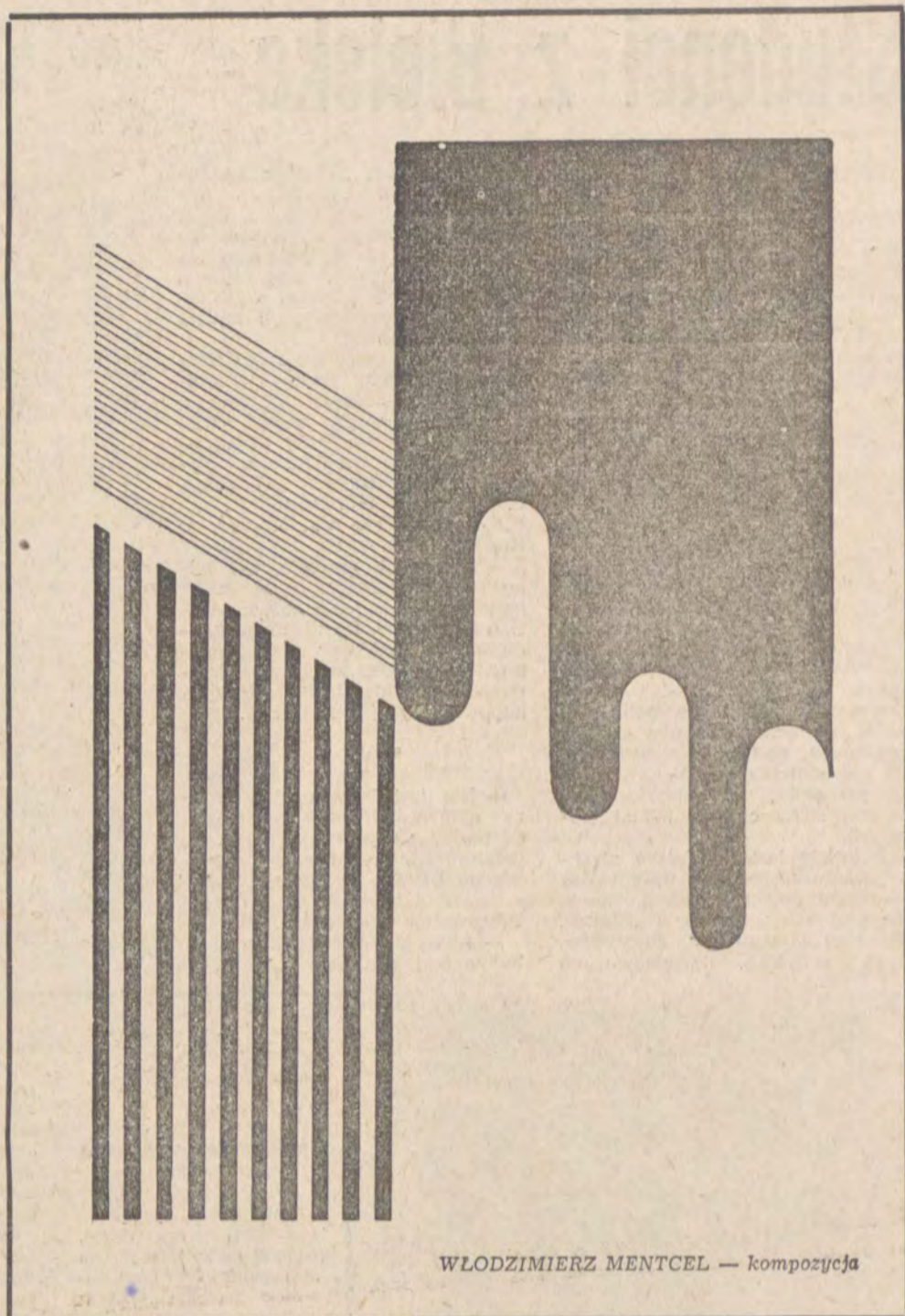
Te zalane ludźmi drogi widać do dziś. Jest to obraz, który nigdy nie zniknie z mej pamięci: mężczyźni i kobiety, młodzież i starcy, a nade wszystko matki z małymi dziećmi na rękach i tobołami na plecach. Matki samotne, opuszczone, zdane tylko na siebie. Gdzieś między Siedlcami a Łukowem zatrzymała nas (mnie i Stanisława Majehra, współtowarzysza wędrówki) żandarmeria polska: dwaj młodzi żołnierze, którym doniesiono, że na tym terenie znajdują się zrzuceni z samolotu szpiegzy hitlerowscy. Prowadzili nas pod karabinami do najbliższego posterunku. Okazaliśmy wszystkie posiadane dokumenty, karty mobilizacyjne, podaliśmy swoje adresy, miejsca pracy i miejsca studiów — nic nie pomogło. Dwaj młodzi żołnierze byli nieprzejeźdzeni. Na posterunku starszy wiekiem komendant, nie ogolony, nie wyspany, z przerażeniem w oczach, przetrzymał nas pół godziny, a potem kazał nam sobie iść. Zarzuty ciężące na nas uznał za bezsensowne, zorientował się od razu, że to, po prostu, tragiczne nieporozumienie. Ale pojeśliśmy wówczas, że w chwilach napięcia i grozy ludzie mogą dać posuch każdej plotce. W ciągu tej pół godziny przeżyliśmy dwa piekielne naloty na pobliski dworzec. Ledwie uszliśmy z życiem.

Od pamiętnego września minęły trzydzieści dwa lata. Czas dostatecznie długi, aby zatarły się kontury tamtych wyda-

rzeń i przestały absorbować wyobraźnię. A przecież tak nie jest. Przed każdym zbliżającym się wrześniem wszystko powraca i odżywa na nowo. Jeszcze raz przemierzam drogi i gościńce, piję wodę z wiejskich studni i kałuż, śpię na polu i w lesie, uciekam przed bombami i terkotem karabinów z lecącymi tuż nad ziemią samolotów. Jeszcze raz napotykam pojedyncze grupki żołnierzy, którzy szukają zagubionych oddziałów, starą kobietę obwieszającą z triumfem, że „właśnie dziś rano udał się zamach na Hitlera i jutro będzie już po wojnie”, chłopów orzących pole, jakby się nic w ogóle nie stało. Widzę zagrody polskie w ogniu, podpalone rękami ukraińskich faszystów, porzucone auta, konie z rozprutymi przez odłamki brzuchami...

Szliśmy nocą, a w dzień odpoczywaliśmy. Marny to był odpoczynek. Spaliśmy jak przysłowiowy zajac pod miedzą. Budził nas najdalszy nawet pomruk dział i szum lecących samolotów. Zrywaliśmy się rozespiani, oglupiali, nie wiedząc, co z sobą począć, aby znowu zapasć w sen krótki i niespokojny. Patrzyliśmy w rozgwieżdżone i pełne słońca niebo i mieliśmy głęboki żal do Boga, że nie zsyła deszczu i roztopów, które utrudniłyby, albo wręcz uniemożliwiły operacje wroga. Milczeliśmy srodze zawiedzeni, po czym Stanisław przywoływał na pamięć czyjeś tam słowa, że „Bóg stoi zawsze po stronie silniejszej armii”. Byliśmy młodzi i naiwni. Kochaliśmy swój kraj i wierzyliśmy w to, co niemożliwe.

Potem nadeszły długie lata okupacji. Były one trudne, niekiedy trudniejsze nawet niż wojna wrześniowa. Ludzie nie przestali walczyć i ginąć. Ale wrzesień był szokiem pierwszym, więc najsilniejszym. Po wrześniu przyszła konspiracja, partyzantka, obozy. Uczyliśmy się życia w nowej sytuacji i nowych warunkach. Straciliśmy wiele, żeby nie powiedzieć wszystko: niepodległe państwo, dom, pracę, bliskich, uniwersytety, książki, gazety, ale nie straciliśmy jednego — przekonania, że nie zginął i nie zginie naród, który podźwignie się na powrót do samodzielnego bytu. Jedni uważali, że nastąpi to niebawem, inni, że trzeba będzie poczekać. Ale i jedni i drudzy wiedzieli, że to jedyna alternatywa. Były chwile, kiedy przekonanie nasze nie miało prawie żadnego uzasadnienia, kiedy jedynymi realiami były: wiara i nadzieja, nic więcej. Naród, który ponosi klęskę, ale się nie poddaje, nie znika z powierzchni ziemi. Jakże często w tych czasach „nocy narodowej” wracaliśmy myślą do historii, do naszych dziejów. Jakże często nasza przeszłość była naszym jedynym ratunkiem. Mówiliśmy sobie: naród, który przez sto dwadzieścia kilka lat nie pogodził się z myślą o śmierci, który zrywał się do walki o wolność, nie pozwalając na sobie zapomnieć, który obecny był wszędzie tam, gdzie człowiek nie godzi



WŁODZIMIERZ MENTCEL — kompozycja

się na uciemnienie i lamie dławiące go okowy — taki naród zdobywa sobie prawo do istnienia. Wbrew wszystkim i wbrew wszystkiemu.

Mój wrzesień był nie tylko moim wrześniem. Był wrześniem moich rówieśników, całego pokolenia, całego społeczeństwa. Gdy opowiadam o tym, co przeżyliśmy we wrześniu 1939 roku i później, młodym ludziom, urodzonym po wojnie, opowieści mojej słuchają jak bajki o żelaznym wilku. Kiwają głowami, uśmiechają się, milczą. Czasami mam do nich żal z tego powodu, ale wiem jednocze-

śnie, że żal to niesłuszny. Wrzesień 1939 i okupacja są dla nich tak samo odległe jak dla mego pokolenia pierwsza wojna światowa i dziewiętnastowieczne powstania. Każdy żyje w swojej epoce i przeżywa to, co czas niesie. Czasem życia młodego pokolenia dzisiaj, jest czas pokoju, czas nauki i czas pracy. W kraju, tak doświadczonym wojnami jak nasz, czas pokoju jest wartością najwyższą. O ten pokój, tu i wszędzie indziej, winniśmy zabiegać wszelkimi dostępnymi siłami.

JAN KOPROWSKI

•POLONICA•

ST. LEM
W „LITERATUR UND
KRITIK”

Ostatni numer wiedeńskiego miesięcznika literackiego „Literatur und Kritik”, pisma znanego z częstych publikacji autorów polskich, zamieszcza tym razem opowiadanie „Dziennik” (Tagebuch) St. Lema jako przedruk wyboru nowel krakowskiego pisarza, jaki ukaże się w najbliższym czasie w wydawnictwie „Inselverlag”.

Prezentując prozę fantastyczną polskiego autora redakcja zaopatrzyła przekład w krótką notę biograficzną.

(er)

J. PUTRAMENT
PO NIEMECKU

Claassen — Verlag wydał w tłumaczeniu na język niemiecki znaną powieść J. Putramenta „Odyniec” („Der Keller”).

Książka cieszy się dużą poczytnością, recenzje zamieszcza też prasa austriacka, np. recenzent „Wie-

ner Zeitung” streszczając fabułę książki „bardzo pozytywnego polskiego autora” dochodzi do wniosku, że jest to ciekawa powieść, której tło stanowi wojna, podziemie i odzyskanie wolności oraz odbudowa kraju i z tego względu jest godną polecenia, tym bardziej, że jest to utwór „napisany z wyraźnymi ambicjami literackimi”.

(er)

„SÓL ZIEMI CZARNEJ”
NAGRODZONA WE
FRANCJI

Porywający film Kazimierza Kutza „Sól ziemi czarnej” otrzymał pierwszą nagrodę na festiwalu międzynarodowym, zorganizowanym w Domu Kultury w Grenoble. Specjalną nagrodę jury dostał francuski film „Blanche”, a wyróżnienie — kanadyjski obraz „Prolog”. Powszechne uznanie wywołała w Grenoble zarówno kolorystyczna strona „Sól ziemi czarnej” jak gra aktorów i poetycki klimat dzieła.

W.N.

•POLONICA•

WAKACYJNY KONKURS „ODGŁOSÓW”



Rozpoczął się sezon wakacyjno-wczasowych wędrówek, rozpoczęliśmy więc publikację zadań konkursowych, których tematem będzie Łódź i Ziemia Łódzka i związane z regionem tradycje historii i kultury.

Zadania konkursowe publikować będziemy w ciągu kilku tygodni — zasada ta sama, co w poprzednich konkursach „Odgłosów”. Odpowiedzi można więc nadsyłać systematycznie, można też rozwiązywać tylko poszczególne człony konkursu. — Oczywiście odpowiadając na wszystkie pytania zwiększacie swoje szanse w ostatecznym losowaniu nagród

I nagroda — 1.500 zł w bonach towarowych

II nagroda — 1.000 zł w bonach towarowych

III nagroda — 500 zł w bonach towarowych

oraz trzy wyróżnienia w postaci wydawnictw albumowych.

Odpowiedzi prosimy nadsyłać wyłącznie na kartkach pocztowych na adres: Łódź, „Odgłosy”, ul. Piotrkowska 96 — „Konkurs wakacyjny”.

ZADANIE KONKURSOWE NR 8

Encyklopedia PWN podaje, że urodził się w Warszawie w 1893 roku. Ale jako dziewięcioletni chłopiec był uczniem Szkoły Realnej w Łowiczu, przerwał naukę dopiero w dniach strajku szkolnego w 1905 roku. Rok później jego matka — Jadwiga otworzyła w Łowiczu Szkołę Handlową, którą władze zamknęły w roku 1911 w odwet za uczenie przez młodzież rocznicy Konstytucji 3 Maja. Był więc w dzieciństwie związany z Łowiczem, choć w dziejach Polski zostanie jako bohaterski prezydent Warszawy u progu II wojny światowej. Na zdjęciu wykonanym w 1905 roku przez łowickiego fotografa — widzimy go razem z braćmi — Romanem i Mieczysławem. Jak brzmiało nazwisko tego polityka, ekonomisty i ostatniego prezydenta Warszawy?

Wiersze białoruskie*

JANKA KUPAŁA

Dwie topole

Tam za wioską, gdzie pole, dwie jaśniały topole,
Jedna w drugą, dwie topole jaśniały.
I wzdychały, gdzie pole, dwie w spiekocie topole,
Jedna w drugą, dwie topole wzdychały.
A o wschodzie, gdzie pole, wciąż szumiały topole,
Jedna w drugą, dwie topole szumiały.



O zachodzie, gdzie pole, liści szmerem topole,
Jedna w drugą, dwie topole śpiewały,

Ze panują, gdzie pole, nad dębami topole,
Jedna w drugą, dwie topole panują.

A panując, gdzie pole, samowładne topole,
Jedna w drugą, dwie topole nocują...

Niebios pomstę, gdzie pole, dwie odgadły topole,
Jedna w drugą, dwie topole odgadły.

I na wieki, gdzie pole, w sen zapadły topole,
Jedna w drugą, dwie topole zapadły.

1911

Przełożył: JAN HUSZCZA

JAKUB KOŁAS

Pieśni zimy

Lubię zimy z mrozami,
Zawieje, gdy nad polem wiszą,
Śniegu skrzyp pod płozami
I lasy z zimową ich ciszą.

I gędbę wiatru smutną
Lubię w wiejskich kominach pustych,
Na polach białe płótno —
Śniegowych obłoczków obrusy,

Ląki przez nie zasłane,
Ciszę polną w dali bez brzegów,
Drzewa ukolysane
Pod białą pokrywą ze śniegu.



W tych swobodnych przemianach,
W tym wszystkim, co mrozy rysują,
Jest młodość zapomniana,
O niej pieśni z serca się snują.

1916

Przełożył: JAN HUSZCZA

SIARHIEJ DZIARHAJ



Ja ból twój i smutek rozumiem.
Radzić, byś zapomniał...
nie umiem.
Zapomnieć — to tyle co zdradzać.
A jak coś takiego doradzać?

Przełożył: JAN HUSZCZA

MAKSIM TANK

Szlak dzikich gęsi

Wicher kudłaty targał miedze, zagony,
mokrą wstążką spod wozu droga rzucona

tam, kędy brzozy smutek w gałęziach rozwiesza,
tam, kędy są tylko chmury, wicher i miesiąc.

Noc przestraszona, biała noc ponad ziemią,
zorzy ścieżynką odchodzi, czarnym płaszczyząc się

sny, co minęły, sny, co zostały ze mną,
z cieniami sosen rozstajnych się sploty.

Kij na plecach i torba pieśni na drogę,
idę przez wydmy, kałuże, wyboje

i od celi do celi się wlokę,
Białorusi ty moja.

1936

Przełożył: JERZY PUTRAMENT

MAKSIM TANK

Żeby wiedziały...

Samotna sosna rośnie na kurhanie,
Żeby wiedziały;
Korzeniem drąży podziemne otchłanie,
Żeby wiedziały;
Wierzchołkiem slega tam, gdzie zorzy luna,
Żeby wiedziały;
Dzwoni na wietrze jak napięta struna,
Żeby wiedziały;
Matki, gdzie śpią ich synowie — sokoły;
Wichry,
Gdzie budzić uspięte żywioły;
Zorze,
Gdzie blasków tęczą wschodzić winny;
Ptaki na wyraju —
Gdzie ich dom rodzinny.

1945

Przełożył: LEOPOLD LEWIN



Rys. E. Inglot

ULADZIMIR KARATKIEWIČ

Szcęście

Nie chcę upajać się przeszłością
I nie chcę tonąć w śnie.
Rankiem, jak kwiaty z drzew akacji,
Wypadł ostatni śnieg.

I skrzy się szczęściem pod nogami,
Śpiewa o nowych dniach,
U słupów drut, jak lin wiązanie,
Wciąga żagiel na maszt.

Noc idzie ze mną aż do rana,
Aby otworzyć się,
Bym nowy dzień mój wziął w ramiona,
Kuszący złudą dzień.

Przełożył: MACIEJ J. KONONOWICZ

NIŁ HILEWICZ



Mój mroczny bór, rodzinny bór zielony!
Ma go każdy człowiek — swój bór co wola,
Swoją drogą kąt, i brzozy swe, i klony,
Leśne tajemnice, ukryte w ziołach.

Borze, na wieki bądź błogosławiony!
Ty jeden wiesz, przyjacielu miłkiwy,
Że byłem u ciebie zawsze szczęśliwy,
Mój mroczny borze, mój borze zielony!

Przełożył: MIECZYSLAW M. SZARGAN



ŚCIAPAN HAURUSIOU



Żeby o sławę walczyć z mędrcami,
Skromność mi nie pozwala.
Zwłaszcza, że wiecznie zielone laury
O dostojnych snią skroniach.
By nie wyblakła w słonecznym świetle
Nieśmiertelna sżwizna,
Cicho im tylko wieńce poprawiam,
Znowu kryjąc się w cieniu.

Przełożył: JAN HUSZCZA

MAKSIM LUŻANIN

Krzew

Na skłonie ciemnym i urwistym,
Z marmuru głębi, z kwarcu trzew —
Słoneczna odrośl, byt gwiazdzisty —
Szkarpłatno-żółty wybłysł krzew.

Wiem, bałamuctwo to karcone,
Ale wybaczone — jak bym mógł
Nie skubnąć kraśnych, cierpkich gronek —
Pociechy wszelkich moich dróg!

Choć dalej pnie się gór kraina,
O domu już nie cięży myśl:
Wiedzie mnie — nasza jarzębina.
Przez to weselej i lżej iść!

Przełożył: TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

* Pod takim tytułem ukaże się wkrótce nakł. Wydawnictwa Łódzkiego, antologia dwudziestowiecznej poezji białoruskiej pod redakcją JANA HUSZCZY.

ARTYKUŁ DYSKUSYJNY

ZOFIA TARNOWSKA

Strach i odwaga

Kilka miesięcy temu o północy wyszło z domu przy ulicy Gdańskiej (niedaleko ul. Mickiewicza) młode małżeństwo, żeby odprowadzić do postoju taksówek przyjaciół — także młode małżeństwo. Była sobota i atrakcyjny film telewizyjny — późno wyświetlany. Młodzi ludzie wzięli ze sobą psa, żeby też pospacerować przed snem. Po przeciwnej stronie ulicy szło pięciu młodych osobników i jedna dziewczyna. Bluzgali brudnymi wyrazami. Jeden z naszej czwórki zwrócił im uwagę. Jednocześnie dotarli obie grupy do rogu ul. Mickiewicza. I nagle autor uwagi został błyskawicznie otoczony i uderzony czymś twardym w głowę. Przewrócił się. 23-letni człowiek o kondycji sportowca, wzrostu 190 cm znalazł się w pozycji nie do obrony. Ostaniał tylko twarz i głowę rękami przed kopaniem. Towarzysz pospieszył na ratunek — przejechał mu czymś ostrym po ręce. Młode żony przeraźliwie krzyczały. Jedna pospieszyła na ratunek bitemu mężowi pokopali ją, kopnęli psa.

Wydarzeniu przypatrywał się dozorca z łopata w ręku. Stał z jakimś mężczyzną, okazyło się potem, że z pijanym. Ani drgnęli. Chyba z portierni fabrycznej. (w tym miejscu jest dużo zakładów i drukarnia wojskowa opodal) dyżurny portier zadzwonił po milicję. Przyjechały dwa radiowoz, ale napastnicy już zbiegli. Jeden wóz milicyjny zabrał natychmiast do Pogotowia Ratunkowego ofiarę pobicia. Trzeba było szyć ranę „wykopaną” przy samej gałce ocznej. Szczęście, że cios nie wybił oka. Brakowało milimetra. Pół twarzy zostało zniekształcone. Drugi radiowóz szukał napastników. Zniknęli jak kamfora. I nie znaleziono ich do tej pory.

— Niech mówią najgorsze wyrazy, niech biją i zabijają w moich oczach — będę uciekał daleko. Mam naukę na całe życie. Oczy i ręce są mi potrzebne do skończenia studiów i lekaarskiej roboty. Ale jeżeli zostaną ja zaczepiony — tu młody

człowiek wyjął z kieszeni ogromną pałę gumową — nie będę patrzył gdzie biję i w co biję. Jest tylko jedna kwestia — czy mnie nie skarzy za pobicie drania, bo że mnie szybko znajdą — nie wątpię.

...

— Niech biją i zabijają — będę obchodził z daleka — powiedział jeden z dziennikarzy, który obronił napadniętego przez chuliganów funkcjonariusza MO (w pobliżu al. Kościuszki — ul. Mickiewicza). Obronił, schwytano jednego napastnika. Wezwano dziennikarza na przesłuchanie. Czekal razem z... chuliganami. Wezwano jako świadka na rozprawę. W czasie zeznań oparł się o stoł zespołu sędziowskiego, bo nie mógł dobrze widać nogą uszkodzoną kopnięciem przez chuligana. Pani sędzia zwróciła mu uwagę na... majestat sądu Zglupiał. A chuligani zgromadzeni na sali bardzo się ucieszyli z takiego potraktowania świadka oskarżenia...

...

Było to chyba dwadzieścia lat temu. Zaczęło się rodzić chuliganstwo. Zebrali się na naradzie przedstawiciele różnych organizacji i zaczęli radzić nad metodami wychowywania grup młodzieży, które nagle zaczęły brzydko mówić i pluć nam pod nogi. Zjawisko było niepokojące, bowiem wyrosło w warunkach entuzjazmu, uporu poświęcenia i ofiarności z jakimi ludzie przystąpili do odbudowy Łódzkiego zniszczenia okupacyjnego. W tym czasie już otworzyły podwoje wyższe uczelnie, młodzież jeszcze w mundurach wojskowych siadała w kinowych salach, żeby słuchać wykładów...

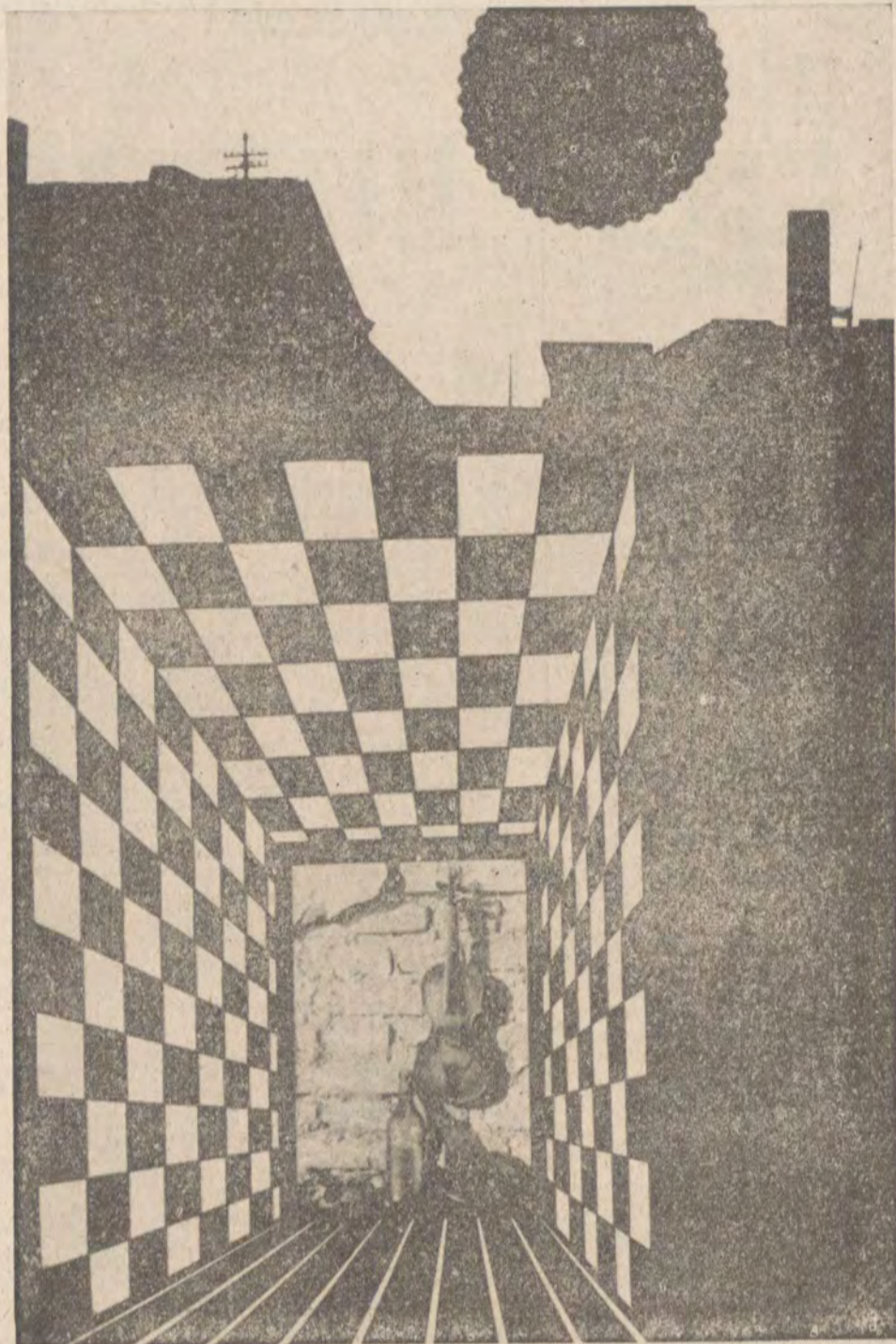
Dziwiono się i radzono. I przyszedł dość późno starszy człowiek w brudnym od smaru kombinezonie, z usmarowanymi rękami. Posłuchał potem poprosił o głos i powiedział: „Towarzysze, co wy mówicie, jakie wychowywanie łobuzów, jaka mowa do nich? Czy wy wiecie, że w kopalniach nie ma kto węgla wydobywać, że Warszawę się z gruzów podnosi? Do roboty ciężkiej łobuzów, obozy pracy dla nich robić!”

Nie dokończył Zakrzyczano go. Słowo „obóz” kojarzyło się (i dalej się nam kojarzy) z obozem zagłady. Taki kontrargument mu przedstawił: „Dopiero wyszliśmy z obozów, a wy chcecie je dla młodzieży? Wychowywać trzeba, uświadamiać.”

...

W programie kabaretu „Kpiarz” pt. „Smieszne, co?” znajdował się skrót rodzaju chuliganstwa-bandytyzmu. Od łobuziaka w pieluszkach chuligańskich — do bandyty, który zagraża życiu. Rozlega się w finale scenki krzyk: „Milicja” i odzew flegmatyczny: „a co tu milicja pomoże?”

Pomaga milicja, ale na dobrą sprawę, to trzeba by podwoić patrole oraz zastosoować takie represje wobec draństwa, żeby nie śmiało się pokazać na ulicy. Mamy ładny pasztecik i sami sobie upiekliśmy. Częściowo przez uznanie młodzieży za partnerów i kolegów, częściowo przez rozebranie ich z obowiązującego umundurowania szkolnego, przez otwieranie im usługowych zakładów rozrywkowych z kawiarniami włącznie. Handlują teraz w tych kawiarniach środkami odurzającymi. Marihuana w polskim wydaniu (a podobno jest już pomoc w przemycaeniu oryginalnym). Projekt ustawy o zwalczaniu paśzożytnictwa zawiera odważny środek ostatecznej reakcji na chuliganów: „ośrodek pracy przemyślowej”. Nareszcie. Ciekawam tylko kiedy ustawa się ukaże i rozwiąże ręce (także milicji) i kiedy zaczną przyjmować „zawodników” ośrodki pracy. I na jakich warunkach.



Rys. M. Uruška

Mam ogromny szacunek dla Bulgarów. Czternaście lat temu, podczas pierwszego mojego pobytu w tym kraju dziwiłam się, że nie widać nigdzie młodzieży. — W szkołach i świetlicach jest miejsce dla młodzieży — odpowiadano mi. Napisałam wówczas duży artykuł o metodach wychowywania dzieci i młodzieży na bułgarski sposób. Tam się nie krepowano. Za zapalenie papierosa w szkole wysyłano pana brata poręgułować Dunaj w założonym tam obozie pracy wychowawczej. Panowie abiturienty nosili włosy na jeża — trzy centymetry od skóry, a kolnierze mundurków były po uszy. Potrafił jednak maturzysta z Warny posługiwać się dwoma językami obcymi. U nas — „laciuna” powielana jest w wersji takich filologów, o których klasyki nie śnił.

Zastraszone, bezbronne społeczeństwo — masa ludzi ciężko pracujących — przemycła pod ścianami na widok balansujących biodrami „rajflarzy” cuchnących piwkiem i wińskim, potrzebujących gryzami brudnych kłaków. Splunie ci taki prosto w twarz — zareaguj człowieku. Dadzą ci na miejscu szkołę. Nie pod-

niesz się. I dlatego się ciągle boimy. Możemy wskazywać, ale co to pomoże. Przecież nasza milicja zna chyba wszystkie meliny, domy schadzek, miejsca spotkań zwyrodniałych dzikusów. I co z tego? — pytam. Zwiążą ich w pęczki i przywiążą do pomnika Kościuszki. Rozbiorą do naga i prać będą po brudnych tyłkach aż skóra zatrzęszczy? Nie. Przecież to godzi w wolność osobistą.

Społeczeństwo domagające się porządku, widziałoby tę formę wychowywania jako jedną ze skutecznych. Tak jak pracę w miejscach publicznych pod dozorem uzbrojonego strażnika. Za pogardę dla pracy — nauka poszanowania skórki chleba — oto czego trzeba chuliganstwu.

I tego trzeba pijakom, którzy rano opuszczają Izbę Wyrzeźwień po śnie dozoranym przez lekarzy. Nie do budki z piwem powinna dążyć „święta krowa”, ale do czyszczenia wozów tramwajowych i opróżniania koszy ze śmieciami. W rynsztunku bojowym, parami — przy biciu braw przez ludzi spieszących na pierwszą zmianę do fabryk.

Pornocwaniacy

„Hot pants”, czyli gorące majtki nikogo nie razi. Moda ta nie jest przyjmowana jako prowokacja, bo chodzi tu chyba o zwycięstwo sportowego stylu. Inaczej ma się z modą prowokacyjną, obserwowaną tu i ówdzie na deptakach naszych, pierwszej kategorii miejscowości wypoczynkowych. Można tam zauważyć chłopców noszących okrągłe broszki lub wisioriki z napisem „Ladies only!” oraz dziewczęta w ten sam sposób obwieszające „I’m dynamite!”, co określa erotyczny temperament panny, podczas gdy chłopcy dają do zrozumienia,

że nie reflektują na męskich partnerów. Broszki i wisioriki są rodzajem prywatnej produkcji, posługującej się wzorami importowanymi z Anglii. Nie alarmujemy nikogo. To przejdzie. W Polsce nie ma głęby, na której wyróżnie więcej niż kilka takich kwiatuśzków. A gdzie indziej jest inaczej. Jeszcze nigdy w historii ludzkości, do której, chociażby ze względów protokółarnych, należy zaliczyć bez wyjątku wszystkich żyjących na ziemi, nie produkowano tyle sextowaru jak obecnie w świecie zachodnim. Kraje te ogarnęła fala sexu,

Fala ta zalewa życie towarzyskie, reklamę, film, teatr, sztukę plastyczną i prasę. Sex stał się alfą i omegą wielu dziedzin przedsiębiorczości. Wystarczy np. rzut oka na programy filmowe w zachodniemieckiej prasie, by się przekonać, że tamtejsza branża filmowa zamierza żyć z pornografią. Już tytuły filmów świadczą o tym, np.: „Kociak do konsumowania”, „Kwartet w łóżku”, „Chcesz wiecznie zostać dziewczyną?”. Ani westerny, ani filmy gangsterskie, w których przecież nie brak pornograficznych wątków, nie wytrzymały konkurencji filmu „Jestem ciekawa...”, w którym twórca pokazuje pięć scen spółkowania, lub dzieła pt. „Ptaki umierają w Peru” z sześcioma scenami orgazmu i na dodatek jedną lesbijską. 50 wielkich zachodniemieckich kin wyświetlało przed dwoma laty film „Inga ma ochotę”, który od pokazania defloracji przechodził do demonstracji grupowego spółkowania i masturbacji. Pornografia filmowa nabrała roz-

machu, kiedy producenci filmowi zauważyli, iż władze i tak zwana „samokontrola” zrzeczenia z pobłażaniem odnoszą się do tego rodzaju dzieł, z przyczyn, o których będzie jeszcze mowa. Lepsi wśród nich, awangardysty, uważali, że zwalczają zakłamaną moralność, podchwytyjąc i reprezentując protest młodzieży, która chce usunąć zakazy i nakazy burżuazyjnego społeczeństwa. Typ dla całej branży dali więc — mimo woli — „krótkometrażowi awangardziści”. W 1968 roku na festiwalu krótkometrażówek w Oberhausen pokazano dzieło, którego światoburczość polegała na demonstracji pieszczony męskiego membra przez kobietę ręką. Wywołało to wówczas wielki skandal. Dziś nie wywołaloby. Już na następnym festiwalu jeden z „awangardystów” wyświetlił w Oberhausen filmik, pokazujący akt kastracji wykonany przez nagą kobietę na mężczyźnie. Nie wywołało to już najmniejszego oburzenia — w Oberhausen. Rekord pobiła belgijska krótkometrażówka. Podczas walki płci naga dziewczyna zdo-

bywa to, co jest głównym akcesorium męskości partnera, wkłada do wecku na gzymsie obok innych wecków, na których widnieją nazwiska współczesnych mężów stanu. Tego rodzaju „awangarda” zachęca film komercyjny do produkcji pornografii. Nie przeliczył się, tak jak nie przeliczyła się zachodnia prasa kolorowa, rozstrzelając własny przemysł pornograficzny. Mówimy o zachodnim świecie, chociaż przytaczamy tylko zachodniemieckie przykłady: „Z iloma mężczyznami może spać dziewczyna?” zapytuje magazyn „Ex”, „Co mężczyźni czują, zdradzając swoje żony” — zdradziło swoim czytelnikom czasopismo „Jasmin”, a „Quilek” opisuje „Prostytucję w St. Pauli”, dzielnicy rozkoszy w Hamburgu. Nie pozostała w tyle za konkurencją „Neue Revue” relacjonując, jak „mężczyźni uczą się lepiej kochać”. Trzeba wiedzieć, że wyliczone tytuły, nie są efemerydami, lecz od dawna na rynku znanymi i ulubionymi magazynami. Również wydawnictwa książkowe

MIGAWKI ZAKOPIAŃSKIE

Prasa krakowska podawała ostatnio, że do Zakopanego przyjeżdża rocznie około 2 milionów turystów. Rzeczywistość potwierdza te fakty. Krupówki wyglądają przez większość dnia jak Marszałkowska w czasie pochodu pierwszomajowego.

Pewnego dnia, godz. 10, poszedłem do Kuźnicy, żeby kupić bilet na Kasprowy. Ucieszyłem się bardzo, ponieważ nie było owego osławionego ogonka do kasy. Radość trwała krótko. W kasie powiedziano, że bilety zostały sprzedane już o godz. 8. Żeby dostać bilet na Kasprowy, trzeba wstać o godz. 5. Dolinę Kościelińską ciągną nieprzeliczone wycieczki. Wydaje się, że moda na Zakopane stale rośnie. Tylko Sopot wytrzymuje jak dotąd konkurencję. Giewont przeżywa prawdziwy najazd. To właśnie na starym, poczciwym Giewoncie ginie rocznie najwięcej osób. Jest to skutek karygodnej lekkomyślności i głupoty turystów, a także pewnej anomalii atmosferycznej (powodującej, że Giewont w czasie burzy ściga więcej piorunów, niż inne szczyty tatrzańskie).

Przechodząc przez Dolinę Chocholowską zaszedłem nad Siwą Wodę. Nad brzegiem tego malowniczego strumienia odkryłem mnóstwo puszek i papierów. Podobnie jest w Dolinie Białego, na Kasprowym, na Gąsienicowej.

Nieprawda, że jesteśmy narodem nieporządnym. Żeby się o tym przekonać, trzeba pojechać do Paryża czy Londynu, które zasypane są śmieciami. W londyńskim Hyde Parku, kiedy zrywa się wiatr, latające papiery przesłaniają horyzont. Ale są tam specjalni faceci, którzy nic innego nie robią, tylko je zbierają. Dlatego zwracam uwagę odnośnych władz, aby zamiast niepotrzebnego lamentu za-

czyły nareszcie w tym kierunku działać. Również inne rzeczy wymagają natychmiastowej interwencji.

Parę przykładów:

— Stan dróg zakopiańskich jest fatalny. Bardzo uczęszczana szosa do Doliny Kościelińskiej grozi połamaniem resorów. Podobnie ulica Makuszyńskiego.

— Droga do Morskiego Oka na końcowym odcinku zamknięta dla samochodów prywatnych. Kursują autobusy. Z rozkładu wynika, że co 10 minut. W stronę Morskiego rzeczywiście tak było. Ale z powrotem czekaliśmy godzinę w kilkusetosobowej kolejce. Natomiast pojawiło się parę tzw. „lewych” autobusów.

— Fatalnie zaniedbany jest serwis obsługi samochodów. Nie można dostać części do wielu popularnych wozów. Ceny napraw w prywatnych stacjach są kilkakrotnie wyższe niż w Warszawie.

— Biuro Podróży PTK nie potrafi zarezerwować hoteli w Słowacji. Nie posiada też żadnych map ani prospektów reklamowych.

— Niektóre ceny wymagają interwencji władz. Flakrzy za przejazdkę przez Dolinę Kościelińską liczą 150 zł. Mikroskopijna porcja poziomka ze śmietaną u góralki w Dolinie Białego kosztuje 10 zł.

Największą atrakcją mojego pobytu w Zakopanem był rajd do Nowego Targu. Udział brało kilkanaście samochodów. Znajomy, z którym jechałem zajął drugie miejsce za rewelacyjnym Anglikiem. Ale w swojej klasie był pierwszy. Otóż w Zakopanem zabrakło żółtej benzyny. Nie było jej 2 dni. Znajomy zadzwonił do dyrektora CPN w Krakowie. Dyrektor stwierdził autorytatywnie, że benzyna będzie za godzinę. Po-

czem nie było jej przez dalsze 24 godziny. Natomiast dowiedzieliśmy się, że małą ilość benzyny dowieziono do Nowego Targu. I w ten sposób zaczął się rajd o nagrodę dyrektora CPN. Według wiadomości pracowników zakopiańskich stacji benzynowych kłopoty z żółtą benzyną występują permanentnie. Ciekawe, co sądzą o tym cudzoziemcy?

Nie ma żółtej benzyny, są natomiast wysokie budynki, Ciekawe, co się stało, że pozwolono popsuć wspaniały styl zakopiański a od wielu lat nie oddano do użytku żadnej inwestycji kulturalnej.

Przejdźmy do spraw przyjemniejszych. Na Krupówkach widzi się wiele pięknych dziewczyn. Rewia mody i wdzięku z całego świata. Masy sympatycznych Węgrów. Pojawia się coraz więcej Słowaków i Czechów. Obserwujemy potop Niemców z NRD. W wielu kawiarniach słyszy się więcej niemieckiego niż polskiego.

Sklepy są zaopatrzone. Jest duża ilość kawiarni i barów. Nie zdarzyło się, żeby zabrakło napojów chłodzących. Dom towarowy „Granit” może konkurować z warszawskimi.

27 lipca w Międzynarodowym Klubie Prasy i Książki Wojciech Natanson wygłosił odczyt o Janie Sztudyngerze. Sala wypełniona po brzegi pomimo pięknej pogody. Dużo młodzieży, której Sztudynger był wielkim przyjacielem i zwolennikiem. Prelegent starał się zwrócić uwagę na mniej znane dziedziny twórczości Sztudyngera. Dowiedzieliśmy się między innymi, że wielki fraszkopisarz był pionierem ruchu lalkarskiego w Polsce, doskonałym tłumaczem, poetą lirycznym. Zgromadzona na sali młodzież domagała się gremialnie recytacji fraszek Sztudyngera. Dowiedzieliśmy się, że niebawem ukażą się nowe tomiki.

Wszystko wskazuje na to, że ta piękna postać, związana na zawsze z Zakopanem, wspaniały człowiek, który do ostatniej chwili, ciężko chory, tworzył — wejście na trwałe do historii polskiej kultury.



Rys. S. Arabski

Spożnione wspomnienie o Bolesławie Busiakiewicz

ŚMIERC radiowca nie jest śmiercią absolutną. Dźwięk zapisany na taśmie elektrycznym impulsem zabrzmi jeszcze nie raz — także wówczas kiedy zamilknie żywy impuls serca. Bolesław Busiakiewicz nie żyje — zmarł u progu lata, ale Jego głos żyje, zapisany na taśmie magnetycznej i w pamięci kilku pokoleń słuchaczy.

Był łodzianinem i tu po I wojnie światowej rozpoczął pierwszą pracę — polonisty w łódzkich szkołach. Potem los rzucił Go do Poznania gdzie w latach dwudziestych po raz pierwszy zetknął się z radiem. Został spikerem i autorem radiowym, redagował pismo „Tydzień Radiowy”. Potem wrócił do Łodzi. Nie wiem czy stoi do dziś ten dom, ale to z opłat wymyślonego i prowadzonego przez niego koncertu życzeń wybudowano w Łodzi dom opieki dla ociemniałych dzieci. U początków historii radia w Polsce i w Łodzi był właśnie On ze swymi pomysłami, niespożyta energią, inicjatywą...

Swój pierwszy jubileusz — 20-lecia pracy dziennikarskiej — obchodził jeszcze w roku 1937. A potem się tych jubileuszy namnożyło wiele — 25-lecie pracy w radio, 35-lecie pracy w radio — Jego „Zagadki muzyczne” mają za sobą ćwierć wieku emisji i była to chyba najdłuższa cykliczna audycja w historii Polskiego Radia. Nikt dziś nie jest w stanie obliczyć — nie potrafił tego nawet sam Bolesław Busiakiewicz — ile przez te prawie pół wieku zrealizował audycji — może pięć, może dziesięć tysięcy...

Był tytanem pracy, której poświęcił dosłownie wszystko — całe swoje życie. Nawet wówczas kiedy ciężko chory poruszał się już z trudem, rytm jego dnia wyznaczała uparta wędrówka o kulach między adapterem, biblioteką i studiem. Nosił w sobie nie napisaną historię, pionierskich lat polskiej radiofonii — wszyscy czekaliśmy, że kiedyś tę historię spisze tak jak opowiadał, dowcipnie z furą anegdot i przyczynków. Nie pisał jednak wspomnień, bo uważał że jest to zajęcie dla emeryta, a On przecież był wciąż aktywnym, tkwiącym w pracy, twórcą.

Kiedyś, przy okazji jakiejś rozmowy, dał mi oryginalną płytę z fragmentami „Carmen” Bizeta komentowanymi przez Maję Plisicką oraz swoją karykaturę. „Bardzo lubię tę karykaturę — powiedział wówczas — może kiedy przy okazji opublikuje ją Pan w gazecie”. Nie wiedziałem wtedy, że już nie zdąży opublikować portretu Bolesława Busiakiewicza za Jego życia.

Gdy w lipcu 1961 roku najstarszy polski radiowiec odchodził na emeryturę, zanucił sobie z melancholią „I tak się trudno rozstać”. Ale nie rozstał się z rozgłośnią, pracą i słuchaczami. Dwa lata temu — także u progu sierpnia — rozmawiałem z Nim w Jego zatoczonym piętami i książkami mieszkaniu. Opowiadał Bolesław Busiakiewicz o Kiepurze i Toscaninim, o tym jak pierwszy wpadł na pomysł radiowych koncertów życzeń, o tym jak organizował koncerty Ady Sari i Ewy Bandrowskiej-Turskiej, Szymanowskich, Wertyńskiego... Nagle przerwał. Z głośnika usłyszałem zapowiedź „Zagadek muzycznych”...

— Więc jednak nie było to rozstanie ostateczne?

— Znam tylko jedno ostateczne rozstanie, ale o nim jeszcze nie myślę. Mam sporo rzeczy do zrobienia.

Niestety — nie zdążył. Powiedział jeszcze wówczas: „Jeśli do roku 1970 nie ukaże się po polsku biografia Enrico Caruso — przyrzekam, że ją napiszę...” Niestety — nie ukazała się ta biografia i pan Bolesław już jej nie napisał.

Nastąpiło rozstanie ostateczne. Taśma zatrzymała się w pół słowa, w pół taktu muzyki, którą ukochał i która była treścią Jego życia i pracy. Nieublagany czas zakończył jedną z najciekawszych kart polskiej radiofonii. Z Jego śmiercią w historii Polskiego Radia zamknął się jakiś bardzo istotny rozdział.

Gdzieś w innych wymiarach na radiowej konsolce zgasła czerwona lampka.

JERZY WILMAŃSKI



Fot. W. Parys

nie gardzą zyskami, które przynosi fala podniecen. Nawet firmy o dobrej renomie literackiej, jak np. Kindler, korzystają z tego. Rzeczony wydawnictwo wydało serię kieszonkowców pod wspólnym tytułem „Nauka o seksie”. Znajdujemy tam „Diabelską rozkosz” i „Nowoczesne igraszki miłosne”. Bońskie wydawnictwo „Verlag der europäischen Buecherel” wydało „Historię damskich desusów” w „różowej okładce odkrytej prawdziwymi czarnymi paryskimi koronkami”, jakim ozdobiona jest, czy była intymna damska bielizna... Już z samego wyglądu jest to bezkonkurencyjne dzieło. chwali się wydawnictwo.

Monachijski Urząd do Spraw Porządku Publicznego zezwolił kiedyś na imprezę pt. „Underground-Explosion” — pod warunkiem, że aktorzy biorący udział w tym spektaklu będą dostatecznie ubrani; w szczególności — zastrzegł sobie ten urząd — muszą być okryte okolice łydźwi oraz tyłki, a u kobiet również piersi. Jak się potem okazało, nie bardzo dotrzymano tych warun-

ków. Dochodzimy więc do kolejnej dziedziny, do widowiskowej pornografii.

„Eksplozja” miała miejsce w Monachium, w budynku cyrku „Krone”, przed publicznością składającą się z młodych ludzi, przeważnie studentów. Arena i widownia tonęły w ciemnościach, w których szła orgia perkusyjna, przechodząca po pewnym czasie w nieco łagodniejszą muzykę. Gdy po pół godzinie hałas zupełnie ucichł, światło reflektorów padło na grupę chłopców i dziewcząt, na bawarski „awangardowy” zespół „Amon Duull”. Oni z wyglądu apostołowie, one jak gdyby członkinie jakiejś sekty. Grupa żyła wówczas nad jednym z bawarskich jezior i przeobrażała tam swoje anarhistyczne skłonności na coś, co uważała za muzykę.

Teatr „What-Toll” natomiast wywodził się ze Szwajcarii, z Zurychu. Tuzin młodych ludzi, chłopców i dziewcząt od lat 16 do 24, stanowił również „komunę” dowodzoną przez szwajcarskiego aktora, 22-letniego Piotra Kraski, który odznaczał się

między innymi tym, że stosował rewelacyjną metodę notowania na spodniach. Przed występami w Monachium „What-Toll” przebywał w Andaluzji, by pracować nad udoskonaleniem tego, co pokazał podczas „Eksplozji”: wśród niesamowitego wrzasku postacie baletu atakują się nawzajem, kończąc pokaz orgiastycznym pojednaniem „osiągnięciem jedności ducha i ciała”, jak objaśnił Kraska.

Przed mikrofonem stała kobieta, okryta tylko — czarną szminką. Śpiewaczka ta, czy też piosenkarka, dziurawiła bębniłki uszu piskliwymi okrzykami przechodzącymi w jęki. Recital Limpe Fuchs zowie się artystką produkującą tę „animę-muzyczną”, jak objaśnił jej mąż Paul, filmowiec, kowal, rzeźbiarz i coś tam jeszcze w jednej osobie. Limpe Fuchs potrafiła również grać na perkusji, ale tylko z odsłoniętymi piersiami. Jej mąż dmie przy tym w tubę własnej roboty, zrobioną z banki od mleka — dla wzmocnienia dźwięku.

PODREČNIK ZAWODOWEGO PIŁKARZA



Na nadmiar literatury o tematyce sportowej nie możemy narzekać. Ukazało się co prawda w ostatnich latach kilka, może kilkanaście pozycji, wszystko to jednak bardzo mało, biorąc pod uwagę fakt ogromnego zainteresowania sportem w naszym społeczeństwie.

Dlatego też z zaskakowaniem wzięłem do ręki książkę Bobby Moore'a pod tytułem „Nowoczesna piłka nożna”. Już samo nazwisko autora gwarantowało, że jej treść zainteresuje każdego kibica piłkarskiego. Bobby Moore to kapitan zespołu Anglii, który w 1966 roku wywalczył tytuł mistrza świata, wielokrotny reprezentant swego kraju, „na co dzień” stoper pierwszoligowej drużyny West Ham United.

Ale oddajmy głos autorowi, który w niepozabawiony akcentów samokrytyczny sposób tak charakteryzuje swoją sylwetkę: „...nie urodziłem się przecież z specjalnym talentem piłkarskim. Jako chłopak odznaczałem się wyjątkową wytrzymałością i pilnością, ale wybitną jasność umysłu nie należała do moich cech. W szkole nigdy nie osiągnąłem międzynarodowych zaszczytów, a w pewnym okresie związałem nawet z sobą moje ambicje z zawodowym piłkarzem mającym realne szanse. Zanim „West Ham” otworzył mi możliwość treningów zamierziałem poświęcić się karierze kreslarza lub drukarza. Postępy jakie poczyniłem w „West Ham” i dzięki którym doszedłem do międzynarodowych sukcesów wynikały z tego, że słuchałem, uczyłem się i ciężko pracowałem, by zniwelować brak wrodzonych zdolności”.

Wydaje mi się, że szczerze są te zwierzenia i doskonale obrazują te cechy charakteru, które powinien posiadać sportowiec XX wieku. Z pewną rezerwą natomiast odnieść się należy do owych wynurzeń o braku jasności umysłu, gdyż Moore, Anglik, który kilkakrotnie dostąpił zaszczytu rozmawiania z Jej Królewską Mością i jeden z członków drużyny mistrza świata cieszy się w swoim kraju opinią co najmniej geniusza piłkarskiego. W stylu takich ludzi leży właśnie owa przesadna skromność, skromność rzec by można na pokaz. Jednak nawet największy geniusz zawsze stwierdza, że źródłem ich sukcesów jest przede wszystkim praca. Warto byłoby, żeby te słowa Moore'a przeczytali młodzi piłkarze, uważający się już często za „gwiazdy” swej dyscypliny i ginący po jednym lub dwu sezonach w tłumie tak jak oni, nie robiących postępów. Zresztą książka ta adresowana jest przede wszystkim do młodzieży, do adeptów sztuki piłkarskiej, którzy pragną iść w ślady mistrzów.

„Zrób następującą próbę. Połóż na trawie chusteczkę. Odłóż się na odległość około 18 metrów. Przekonaj się ile razy uda ci się z tej odległości trafić w chusteczkę uderzając piłką znajdującą się w stanie spoczynku. Próbę tę powtórz 50 razy. Jeśli trafisz w chusteczkę za każdym razem, odłóż

tę książkę i nie czytaj ani słowa więcej. Będzie to bowiem dowodem, że jesteś geniuszem. Większość z nas, piłkarzy zawodowych byłaby uszczęśliwiona, gdyby na 10 strzałów 9 piłek przeszło w odległości jednego metra od chusteczki”.

Książka zawiera wiele podobnych przykładów ćwiczeń, jest popularnym wykładem futbolowej teorii, popartej obfitymi przykładami z bogatej kariery autora. Tu właśnie możemy dowiedzieć się, dlaczego Bobby Charlton nauczył się strzelać lewą nogą, poznać historię piłkarskich założeń taktycznych, czy dowiedzieć się jak trenowali Angliści przed zwycięskimi dla nich mistrzostwami świata. Najwięcej jednak jest teorii piłkarskiej, podanej w sposób bardzo przystępny i ciekawy.

Nie chcę zamieszczać zbyt wielu cytatów z tej interesującej książki, jednak kilka jej fragmentów zmusiło mnie do smutnych refleksji nad polskim piłkarstwem. Bobby Moore pisze: „W wielkich klubach są ludzie, którzy opiekują się butami zawodników. Ale szanujący się piłkarz sam dba troskliwie o swoją własność. Piorąc własną koszulkę lub przykrejącą korki do swoich butów wspomni moje słowa — lenistwo jest największym wrogiem piłkarza zarówno na boisku jak i poza nim”. Tymczasem nie tak dawno w łódzkiej prasie zamieszczono informacje o zgola niecodziennym fakcie. Oburzono się, że piłkarze, o zgrozo! muszą sami sobie pompować piłki. Albowiem, jak wszystkim chyba jest wiadomo sprzętem piłkarzy — amatorów w naszym kraju zajmują się właśnie specjaliści pracownicy klubów i to począwszy od ekstraklasy, a skończywszy na ligach lokalnych. Wszystko to spowodowane zostało obawą, by nasi dzielni chłopcy za dużej się nie przemęczeni. Zbytnią pracowitością nasi piłkarze nigdy nie grzeszyli. Świadczą o tym ich słabe wypadki na arenie międzynarodowej, świadczy mierzny poziom rozgrywek ligowych. Coż, kiedy tak już rozpieściłmy nasze piłkarskie primadonny, że to zawodnicy dyktują warunki działaczom, a nie odwrotnie.

W sumie książka bardzo potrzebna i ciekawa. Niestety, przekład Tadeusza Smardzewskiego przedstawia wiele do życzenia.

Zatyulowałem ów felieton „Podręcznik zawodowego piłkarza”. Śmiało jednak mogą z niego korzystać piłkarze rozpoczynający dopiero karierę i znajdujący się u jej szczytu, a będący „amatorami”. I jedni i drudzy z pewnością znajdą w tej lekturze coś ciekawego dla siebie.

MIECZYSLAW STOLARSKI

* Bobby Moore „NOWOCZESNA PIŁKA NOŻNA”, przekład T. Smardzewski, wydawnictwo „Sport i Turystyka”, nakład: 20 tys. egzemplarzy, stron 123, cena 18 złotych.



POLAK SIĘ UBIERA

Audycje o problematyce ekonomicznej nie należały nigdy do najłatwiejszych. Mam tu na myśli trudności tworzenia przez autorów, a nie percepcji przez widza. Dlatego zapewne rozpowszechnił się typ audycji ekonomicznych, budowanych według określonego schematu. Dawniej schemat ten wyglądał następująco: jest dobrze, będzie jeszcze lepiej. Dziś nieco się zmienił i rozbudował: było źle, jest lepiej a będzie jeszcze lepiej. Wydaje się, że według takiego właśnie schematu skonstruowano audycję przygotowaną przez łódzki ośrodek, której tytuł brzmiał: „Jak ubrać Polaka”. Na takie pytanie może odpowiedzieć każdy bez wahania i bez żadnej sugestii: elegancko, wygodnie i tanio. No, ale gdyby tak myśleli autorzy audycji, to ta w ogóle by nie powstała. Więc odpowiedzieli raczej na pytanie: w co ubrać Polaka. Odpowiedzieli: w dzianinę, ale jeszcze trzeba poczekać parę lat.

Przyjęty przez autorów schemat „było źle, jest lepiej, będzie jeszcze lepiej”, wbrew ich woli chwilałami się zalamywał. Na przykład przy temacie „obuwie”, dowiedzieliśmy się, że było niedobre, ale jest lepiej, bo nasze wzornictwo jest postępowe. I chociaż wzornictwo zachodnie jest jeszcze bardziej postępowe i dystans między nami a nimi wciąż się powiększa, to będzie lepiej, bo odebrano prawo produkcji obuwia kilkunastu spółdzielniom, które będą musiały przestawić się na produkcję czegoś innego. Czekamy na informacje, co zaczęły robić te spółdzielnie, żebyśmy mogli uszeregować je od kupienia tego czegoś.

Przy niektórych działach musieli autorzy dokonać wręcz karkołomnych woltów, żeby się jakoś utrzymać w schemacie. Na przykład przy temacie dodatkach. Właściwie, że o eleganckim wyglądzie kobiety decydują dodatki. I wiadomo, że z tymi dodatkami jest u nas ciagle i niezmiennie bardzo źle. Więc żeby udowodnić telewizorowi, że będzie lepiej, autorzy zakomunikowali, że ruszyła już fabryka koronek (które notabene w świecie zdążyły już wyjść z mody — przyp. mój — Z-ca), które wszak z dodatkami niewiele mają wspólnego. W dalszym ciągu natomiast nie ma skórkowych rękawiczek a już całkiem brak najmniejszych — z tkanin błyszczących, syntetycznych. Owszem, można takie rękawiczki, polskiej produkcji, dostać w sklepie Pekao za dwa dolary. Ich krajowe pochodzenie bardzo łatwo zdemaskować oglądając je wszystkie duże palce, co jest nieodłączną cechą wszystkich polskich rękawiczek (jak się okazuje nawet tych dla Pekao).

Z omawianej audycji dowiedzieliśmy się też, że w Łodzi produkuje się ozdobną pasmąrtę — taśmy do lamowania sukien, bluzek, wdzianek — bardzo modną i zdołająca. Coż, po to, żeby ją kupić trzeba jechać na Wybrzeże, gdzie jest tego mnóstwo. W Łodzi — nie uświadczysz. Toteż filmową ilustracją do informacji o zdobniach zakardowych, były sterty ramiączek do biustonoszy i gumy do majtek (szerokie!)

W gruncie rzeczy nie można zarzucić autorom audycji, żeby byli zbyt optymistami. Po prostu poinformowali o tym co zostało zbudowane i co się buduje, niczego specjalnie nie obiecywali, żadnych pretensji mieć do nich nie będziemy.

Czego nie można powiedzieć o reporterze, który w niedziele, 15. VIII w ogólnopolskim dzienniku telewizyjnym przeprowadzał rozmowę z dyrektorem jednego z warszawskich domów towarowych. Dyrektor ów dokonał właśnie zakupów w Egipcie i dzielił się uwagami z reporterem. Przy okazji pokazał kupioną w Egipcie torebkę damską, a zapytany ile będzie kosztowała, odpowiedział (cytuję z pamięci): „Dawano nam za te torebki po 1.600 zł, ale my je będziemy sprzedawać po 510 albo 670 zł”. Na to reporter wykrzyknął z zachwytem (cytuję z pamięci): „O, to brzmi zachęcająco!”.

Zachęcająco? Dla kogo i do czego? 670 zł, to mniej więcej jedna trzecia pensji pracującej kobiety. Więc trzeba się zastanowić czym się zachwycać przed paroma milionami ludzi.

ZASTĘPCA



O FILMACH DOBRZE I ŹLE

„Lepszy byle kto, niż w ogóle nikt” — są to słowa piosenki, która towarzyszy jako komentarz czeskiemu filmowi „ZABÓJSTWO INŻ. CZARTA”. Wyczerpują one całą treść tego filmu. Natrafiliśmy tu na jeszcze jeden przykład twórczości filmowej damskiej, wymierzony przeciw mężczyznom. Autorka filmu, Ester Krumbachova, współpracowała swego czasu ze sławną reżyserką Verą Chytilovą, współpracą nie pozostawiającą wątpliwości co do jej kierunku — „Zabójstwo inż. Czarta” jest jej pierwszym samodzielnym filmem — Krumbachova emancypuje się równie, że tak powiem, „duchowo”. I głosi nienawiść do mężczyzn oraz kpi z kobiet, których zainteresowania dotyczą wyłącznie garnków i panów tego świata. Ale o ile film Chytilovej „O czymś innym” był — w ramach tego samego kręgu tematycznego — wielowarstwowy, obfitujący w dwuznaczniki, słowem, dający do myślenia, tu mamy jedynie prymitywne stwierdzenie, że kobiety są

głupie, mężczyźni zaś jeszcze głupszy i w dodatku potwory. Niechlujne, brzydki jedzące znakomite i pięknie podane potrawy, nie doceniające zmysłu dekoracyjnego, który kobiecie jest wrodzony itd., itd.

Właśnie, zmysłu dekoracyjnego. Krumbachova jest z wykształcenia plastyczką i daje w swoim filmie pokaz wnętrz, urządzonych z niezwykłym smakiem, potraw tak ułożonych, że na sam ich widok ślinka leci, nawet pęki cebuli wyglądają u niej estetycznie. Zapewne w tych ślicznych obrazkach, wykonanych z wrażliwością iście kobiecą, zamyka się ironia, iż energia życiowa bohaterki tu tylko, w kuchni, się spala. Trzeba wszakże dużo dobrej woli, by pamiętać o tym podtekście. Bowiem film straszliwie nuży. Jego zawartość treściowa starczyłaby co najwyżej na miniaturową humoreskę, nigdy na pełny metraż, z smakowite obrazki moglibyśmy sobie poogłądać w czasopiśmie reklamowym.

☆

W nowej komedii reż. Tadeusza Chmielewskiego „NIE LUBIĘ PONIEDZIAŁKU” najbardziej fotogeniczną, pełną uroku, lirycznie rozrzewniającą i grającą na strunach kochania jest Warszawa. Być może ze względu na tę rolę przypisaną i świetnie wykonaną przez Warszawę (zdjęcia Mieczysława Jahody) film „Nie lubię poniedziałku” skojarzył mi się z „Czasem zabawy” (Playtime) Jacquesa Tati. Warszawa — Paryż Północny... Tylko że w Warszawie-Paryżu Północny nie ma pana Hulot, są za to typy aż za bardzo z tej ziemi. Aż nadto znani faceci spod budki z piwem, obiboki budowlane, panuszczyki czyhające na cudzo-

JOLANTA MACH

